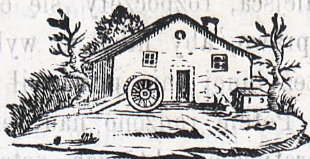
Nr. 3. 21. Stycznia 1872. Tom V.

Rok XIII.
Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje z przesyłką pocztową w państwie Austryackiem 2 złr. rocznie, 1 złr. półrocznie. W Prusach 2 tal. r. 1 tal. półrocznie.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Wybór i koronacya króla Władysława Zygmunta.

(Ciąg dalszy).

W kilka godzin później, znowu pozjeżdżali się do tej szopy senatorowie i posłowie, i rozprawy rozpoczęły się na nowo. Skoro dostatecznie naradzono się nad tem, jak mają być przeprowadzone wybory — zostali w szopie tylko sami senatorowie, zaś posłowie z różnych części królestwa polskiego, Rusi i Litwy, odeszli na bok, aby sobie wybrać marszałka, który miał nad nimi utrzymywać porządek. Było z początku między posłami trochę sporu, ale wreszcie wybrano na marszałku Jakóba Sobieskiego, ojca Jana. Jan ten później został królem polskim i wybawił miasto Wiedeń od Turków.— Marszałkowi do pomocy dodano dwunastu posłów, aby wszystko zapisywali, co sejm ustanowi: czterech z Polski, czterech z Rusi, a czterech z Litwy. Dla marszałka i dwunastu wybranych rozbito namiot płócienny, aby tam i podczas deszczu mogli odbywać swe czynności. — Dokoła namiotu stała reszta posłów, a dalej za nimi szlachty co niemiara. Całe koło, w którym był namiot, posłowie i reszta szlachty, otoczone było rowem i wałem.— Trzy wielkie tablice z napisami pokazywały, gdzie są miejsca

dla szlachty polskiej, ruskiej i litewskiej. Skoro wszyscy pozajmowali swe miejsca, rozpoczęły się obrady. — Najpierw powtórzono dawne prawo, aby nikt na wybory nie przyprowadzał wojska, ani też innej nie przynosił broni, chyba tylko szablę albo szpadę. Potem radzono nad tem, co zrobić z lutrami i innymi heretykami, których ostatniemi czasy wiele się w Polsce namnożyło. Wiele o to było sporów i krzyków, aż wreszcie i to załagodzono.

Po ukończeniu tych spraw stanął przed posłami Sokołowski, sekretarz królewicza Władysława, syna zmarłego króla Zygmunta i upraszał, by cały sejm, to jest posłowie wraz z senatorami, wysłuchali jego Pana, który się stara o koronę polską. — Szopa, w której się zwykle gromadzili senatorowie, była za małą, aby pomieścić wszystkich posłów, senatorów i tych wszystkich, którzy z królewiczem Władysławem i jego braćmi mieli nadejść. Posłuchanie nastąpiło pod gołem niebem. Dla senatorów i posłów wyznaczono miejsca z tyłu; za nimi pozasiadała szlachta w ten sposób, iż zrobił się półksiężyc. Skoro wszyscy pozajmowali swe miejsca, nadszedł królewicz Kazimierz z braćmi i licznym dworem. Najpierw przemówił Jan Kazimierz, brat Władysława i powitał zebranych senatorów, posłów i całą szlachtę królestwa polskiego. –

Potem prosił o głos biskup przemyski, Henryk Firley, i w pięknej mowie polecił Władysława na króla. Prymas i Jakób Sobieski, marszałek, odpowiedzieli na tę mowę i ze swej strony wychwalali i wynosili Władysława pod niebiosy. Na tem się skończył pierwszy dzień. — Senatorowie wrócili pod szopę — a posłowie i reszta szlachty do swego koła, czyli jak to nazywano, do okopu.

W następny dzień znowu zeszli się senatorowie ze szlachtą i posłami, aby wysłuchać mowy posła papieskiego. Siedział on po lewej stronie prymasa; najprzód w imieniu Ojca świętego pobłogosławił wszystkich zebranych, a potem w mowie łacińskiej polecił na tron Władysława, jako księcia bogobojnego i nadzwyczaj walecznego — Sobieski i tym razem odpowiedział, a to po łacinie, poseł bowiem papiezki nie umiał po polsku.

Trzeciego dnia przemawiał za Władysławem poseł austryjacki.

Dzień niedzielny przerwał obrady, a w poniedziałek stanął przed połączonym sejmem poseł króla Szwedzkiego, Gustawa Adolfa. Szwed hardo sobie poczynał. — Powiedział wpradzie, że Pan jego chce utrzymać pokój z Polską, ale także dodał, żeby nie wybierano Władysława, bo to mogłoby sprowadzić wojnę. Całkiem słusznie, spokojnie i z godnością odpowiedział na to Jakob Sobieski, że Polska i jej mieszkańcy nie chcą wojny, ale nie pozwolą na to, żeby im ktoś obcy dawał rozkazy i zrobią tego królem, którego uznają za najlepszego i najwaleczniejszego. Tak tedy musiał Szwed odejść jak niepyszny i nic nie uzyskał.

Po tych różnych posłuchaniach rozdzielono się znowu, a szlachta w swych okopach zaczęła radzić o różnych mniej ważnych rzeczach.

Wiele było sporów, wrzawy i krzyków. Kilka dni tak zeszło, a mało co uradzono. — Aż tu naraz dochodzi wiadomość, że car moskiewski myśląc, że w czasie bezkrólewia Polska będzie bezbronną, wpadł z wielkiem wojskiem na Litwę, niektóre miasta już zabrał i popalił, a Smoleńsk, wielkie i ludne miasto, otoczył dokoła swem wojskiem. — Trzeba więc było czemprędzej kończyć wybory i iść pędzić i bić Moskala. Prymas napominał i 8my listopada naznaczył na ostatni dzień wyborów. — W dniu tym pamiętnym zeszedł się znowu senat ze szlachtą w jeden wspólny sejm. — Ugodzono się, że głosowanie odbywać się będzie województwami. Województwo znaczyło w dawnej Polsce, tyle co u nas powiat, tylko że województwo było daleko większe jak powiat; niektóre miały tyle mil kwadratowych, jak trzy lub cztery powiaty, inne znowu, jak n. p. województwo podolskie albo kijowskie, były tak wielkie, że i dziesięć naszych powiatów mógłoby się w nie wygodnie zchować. — Najwyższym urzędnikiem w województwie był wojewoda, w razie wojny dowodził szlachtą, która w jego województwie mieszkała. — Jak mówiłem, postanowiono, że najpierw każde województwo osobno, to jest wszystka szlachta, senatorowie i biskupi, którzy

w niem mieszkają zgodzą się, kogo chcą mieć królem, a o tem, na co się zgodzili, dadzą znać prymasowi przez swych posłów. — Wtedy prymas zaśpiewał; „Przyjdź Duchu święty“; wszyscy uklękli, zdjęli czapki i nabożnie śpiewali pieśń świętą, a głos kilkudziesięciu tysięcy ludzi z pokorą proszących Boga, by król, którego mieli wybrać, był sprawiedliwy, bogobojny i waleczny, by dał szczęcie narodowi, wznosił się do stóp tronu Najwyższego stwórcy, przed którym nie ma nic skrytego, który zna myśli nasze i widzi uczynki.

Po odśpiewaniu całej pieśni, ruszyły się województwa. Najpierw szło województwo krakowskie. Na przedzie senatorowie, dalej posłowie, urzędnicy, w końcu reszta szlachty wojewódzkiej. Za krakowskiem szło województwo sandomirskie, również ze swymi senatorami na czele. Potem następowała reszta województw polskich, ruskich i litewskich. Wszyscy szli do o k o p u, gdzie każde województwo miało już wyznaczone swe miejsce. Tam mieli się naradzać, kogo obwołać królem. Ale szlachetny, waleczny i cnotliwy królewicz Władysław, syn zmarłego króla Zygmunta, dawno już wszystkich serca sobie pozyskał. Łatwa więc była zgoda. Każde województwo chciało Władysławowi oddać koronę. W pół godziny w tym samym porządku wracały województwa z okopów przed szopę, gdzie już prymas na nie czekał. Najpierw prymas, biskupi, wojewodowie, kasztelani i senatorowie oświadczyli, że chcą oddać koronę polską Władysławowi. Potem występowali posłowie z województw, jeden po drugim i każdy w imieniu swego województwa oddawał głos na królewicza Władysława.

Szczęśliwie tedy i zgodnie w jednym dniu obrano sobie króla. Radość była ogromna: „Niech żyje król Władysław!“ rozlegało się po polu, a ludzie, choć sobie nie znani, ściskali się i całowali z wielkiej uciechy, że wybór odbył się tak dobrze i gładko i bez żadnych zwad albo bijatyk.

W kilka dni potem przysięgali posłowie króla Władysława za swego Pana, że praw, jakie są w Polsce, Litwie i na Rusi, ściśle pilnować będzie. Było to 13go listopada. Jak

zwykle w tym czasie deszcze ciągłe rozmoczyły ziemię, a przez chodzenie nanosiło się niemało błota.

Mimo to, jak cały wybór, tak też i przysięga odbywały się pod gołem niebem. Siedmdziesiąt tysięcy szlachty, i sześćdziesiąt tysięcy wojska, po części piechoty, po części konnicy, w bogatych, złoconych strojach, stało po obu bokach. W środku, w infule i ornacie biskupim, prymas trzymał krzyż w ręku. Przed nim rozesłany był wielki kobierzec, aby posłowie nie potrzebowali klękać w błoto. Nadeszli posłowie Władysława uklękli i ręce podnieśli do przysięgi. Cisza się zrobiła do koła, że można było usłyszeć brzęk muchy. Każdy stał jakby z kamienia i słuchał słów przysięgi. Kiedy posłowie ukończyli przysięgę, przemówił prymas donośnym głosem w te słowa:

„Z urzędu mego mianuję królewicza Władysława Zygmunta, pierworodnego syna Króla Zygmunta III., królem, którego zgodne i wolne głosy obywateli Polski, Litwy i Rusi na ten urząd powołały."

To samo mniej więcej powtórzyli marszałkowie Polski i Litewski swoim województwom.

„Niech żyje król Władysław"! rozległ się krzyk po tych przemowach.

Trębacze rozstawieni na trzech pagórkach zagrali w trąby, a na ten znak kanonierzy zaczęli walić z armat, a około sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy wystrzeliło z karabinów.

Wystrzały z armat i z karabinów dały znać Warszawie, że król już wybrany. Zaraz też, aby okazać radość, że kraj już nie sierotą, że znalazł pana i obrońcę przed Niemcami i Moskalami, uderzono we wszystkie dzwony.

Kto żyw ubierał się czemprędzej, jakby na jakie święto i biegł za rogatkę, na wieś zwaną Wolę, aby się dowiedzieć, kto też został królem.

Tam tymczasem ukląkł prymas, a za nim wszyscy, panowie i szlachta cała, i zaśpiewali piękną pieśń świętego Ambrożego: „Ciebie Boże chwalimy," dziękując Bogu, że ich natchnął zgodą i jednością i dał im wybrać króla bogobojnego, dobrego i walecznego.

Potem, że już był wieczór, zaczęli się rozchodzić: jedni jechali na noc do Warszawy, inni znowu zostawali na polu wyborczem i mieścili się gdzie kto mógł, pod namiotami, albo nawet pod golem niebem grzali się w chłodnej nocy przy rozłożonem ognisku.

Nazajutrz rano odbyła się w Warszawie msza uroczysta o duchu świętym. Arcybiskup gnieźnieński celebrował. Po mszy przysięgał już teraz sam król Władysław, że praw wszystkich święcie dochowywać będzie, i nikogo w królestwie swem nie da ukrzywdzić. Po przysiędze oddał prymas królowi papier, ozdobiony różnemi pięknemi kolorowemi rysunkami, wyśrebrzany i wyzłacany. Było tam opisane, jak Władysław został na króla obrany, a papier taki nazywał się dyplom elekcyjny.

Dyplom ten oddał prymas królowi, skoro tenże wstał od przysięgi, i powiedział do Władysława te słowa: „U ołtarza Wasza Królewska Mość odbierasz dyplom elekcyjny, abyś wiedział, że królestwo jest katolickie, i że masz bronić praw katolickich.

Po tych słowach za przykładem prymasa znowu wszyscy uklękli i znowu zaśpiewali: „Ciebie Boże chwalimy“. Na tej kościelnej uroczystości skończył się wybór króla.

Wszyscy wyszli z kościoła, a marszałkowie polski, i litewski, odprowadzili Władysława do zamku królewskiego. W kilka dni później nastąpiła koronacya króla w Krakowie. Jak to się działo, opiszę w następnym numerze.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zawiślak.

Powiastka z czasów stanu oblężenia w roku 1864.

(Ciąg dalszy).

Na krzyk tak wielki pozrywali się gospodarze i przelękli powychodzili przed chaty i słuchali. Podrywka, kiedy sądził, że ich już dość do pomocy, zmienił hasło i krzyczy.

— Powstańcy jadą! chwytaj! łapaj! Za mną, kto tylko żyje!

Jedni poczęli uciekać co tchu do lasu, inni spokojnie stali na progu, gdzie niektóry wyrwawszy drąg lub kół z płotu, biegł ku gościeńcowi. Śmiałków takich zebrało się do dziesięciu i z Podrywką na czele wyruszyli ku karczmie, gdzie żyd ze strachu trząsł się jak osika i odmawiał pacierze, jakby jego ostatnia wybiła godzina.

Skoro zobaczyli na wpół umarłego żyda i furmana znajomego z pobliskiej wioski, jedni poczęli się śmiać, a drudzy dalejże na Podrywkę, że ich w pole wyprowadził.

— Oto mi się zna dopiero na warcie nasz podwójci! każe nam żyda łapać i chłopów — mówił Jan Bielus.

— Kasprze — powiada Sobek Gajda — weźcież do pary i naszego arendarza, będzie ich więcej nocować w śpichlerzu, a może i mojego kuma Czapelę zechcecie także zamknąć do kozy?

— Za wiele jak widzę — mówił Walenty Makosz — zaglądaliście dziś Macieju do kieliszka, kiedy się wam w nocy takie cuda przyśniły, żeście całą wioskę zbudzili.

Kasper zawstydzony zamiast poprawy i przyznania się do błędu, tem srożej się zaciął i uparł przy swojem, a jak wiadomo, na upór nie ma lekarstwa.

— Co mi tam plecie jeden z drugim — zawołał — ja tu jestem wójtem teraz, czytałem paszport, jest fałszywy, tedy nie ma żadnej wątpliwości, że to jakiś niebezpieczny człowiek, i na tem koniec. Hej chłopcy! bierzcie go!

Stało się według rozkazu podwójciego, i niewinnego handlarza zamknęli na całą noc w śpichlerzu.

Pomału uspokoili się gospodarze i uśmiawszy się z głupoty podwójciego i jego uporu znów się spać na nowo pokładli. Nie jeden miał nogi pokaleczone i zmęczony był jak po najcięższem żniwie i klął w duchu Podrywkę, że to wszystko przez niego się stało, ale przyznać się nie chciał, że przed strachem próżnym uciekał.

I Podrywka także poszedł do domu. Przedtem jednakowoż przysięgał przed Szymkiem i Maćkiem, że złapał powstańca i rozkazał się zbudzić, skoro tylko coś drugiego się zdarzy.

— Nie głupim — powiada sobie w duchu Maciek— sam chce zarobić na pochwały i pieniądze śpiąc w chałupie spokojnie na łóżku, a nam każe ślęczeć i wartować.

Tak Maciej jak i Szymek mową podwójciego byli przekonani, że to był żyd przebrany. Kiedy pierwszy raz schwytanie powstańca, jak sądzili, tak dobrze im się udało, więc nabrali ochoty i odwagi, i już więcej do Podrywki nie myśleli o pomoc się udawać. Postanowili więc każdego, kto się tylko nawinie, chwytać i aresztować.

Noc była chłodna i ciemna, dopiero nad ranem chmury poczęły się rozpierzchać i księżyc, jak srebrny bochen chleba, wyjrzał z po za chmur. W około cisza, żeś słyszał prawie jak trawa rośnie. Oba parobcy na sianie i wyrwanem ściernisku ułożyli się obok siebie i drzymali. Wtem naraz gdzieś w oddali huknął jakiś przytłumiony głos raz, drugi i trzeci, jakby ktoś biczem trzasnął lub z klucza strzelił. Trzaskanie to coraz częściej i gęściej się powtarzało. Wreszcie naraz huknęło coś silnie, przeciągle, ale tak gęsto jakby ktoś grochem sypał, tylko że głośniej i raźniej. Maciej i Szymon zerwali się na równe nogi.

Na niebie w stronie północnej, za rzeką, gorzała szeroko czerwona łuna. Widać było, jak pożar coraz więcej się szerzy, jak dym z iskrami unosi się w górę nakształt ogromnych słupów. A wśród tego słychać było ów ustawiczny trzask i jakieś niby głosy ponure, niemiłe, przerażające, jakby duchów podziemnych. Parobkom nogi zadrżały w kolanach, stali przelękli i żaden słowa przemówić nie mógł.

— Zle z nami, wybełkotał Szymek, uciekajmy, uciekajmy!

— Boże zachowaj nas od głodu, ognia i wojny, cicho szeptał Maciej.

— To Moskale biją Polaków, powiada Szymek. Jak widać kilka wsi od razu się pali.

Jeszcze chwilę stali tak i dumali, a żaden z miejsca nie ruszył, bo strach odjął prawie przytomność, i nogi nie chciały chodzić. Głosy owe tymczasem coraz to cichły, łuna się

umniejszała, strach omijał parobków i obaj zmęczeni znów na tem samem miejscu się położyli i usnęli.

Marysia pilną była dziewczyną. Raniutko obchodziła zawsze chatę dokoła, dawała koniom obrok, opatrywała stodołę i pasiekę, czy Boże broń jakie nieszczęście się nie przydarzyło. Potem wychodziła na kępę, aby dla krówek świeżej trawy do podoju użąć.

Tak też i dzisiaj, z sierpem w ręku i płachtą przepasana przez ramię, świtem szła ku Wiśle.

Przechodząc przez gościeniec zobaczyła śpiących, Maćka i Szymka.

— A to mi pilni wartownicy! w nocy krzyczą jak opętani, a już nad rankiem śpią jak zabici — i lekko jednego i drugiego sierpem uderzyła.

— Kto jedzie?! zawołali oba prawie równocześnie, przecierając oczy. To ty... kochana Marysieczko moja, mówił Szymek, dokądżeś to tak rano się wybrała?

— Idę na kępę po trawę dla krówek, a wiesz, że to bardzo daleko, prawie pół mili. Oj Szymku! nie dobry z ciebie człowiek; mówili tatuś, żeście niesłusznie zamknęli owego żyda do śpichlerza, i że będzie kara.

— Czy już ojciec twój wrócili z Tarnowa?

— A tak, wrócili i wypuścili aresztowanego, ale ten się odgraża i grozi procesem.

— To nie ja, tylko ten Podrywka, a zresztą cóż mnie to obchodzi — kazali łapać, to łapię, kogo zobaczę.

— Pamiętaj Szymku, że nic nie będzie z twoich zamysłów, boś ty człek niedobry i udajesz jakiegoś tam Niemca. Bądź zdrów, ja muszę iść dalej.

Dzwonki wiejskie.

Jest w wioseczce kościółek
Na cześć Bogu stawiony,
Płotem w koło grodzony
Jakby jaki ul pszczółek.

Pod kościółkiem kaplica,
Przed kaplicą dzwonnica,
A w niej dzwonią dzwoneczki,
Na cześć Boskiej dziewczki.

Lecz nietylko cześć bożą
Dzwonki tutaj tak głoszą:
Co dzień rano do szkółki
Wabią dziatki, jak pszczółki:

Idźcie, idźcie dziateczki,
Na naukę do pracy,
Hej dziewczęta, chłopacy,
Idźcie już do książeczki!

A gdy pożar się zjawi,
I płomieniem rozkrwawi,
Dzwonki jęczą żałośnie,
Głosząc ogień rozgłośnie.

A gdy chory ktoś kona
W Bogu jego obrona,
Dzwonek dźwięczy i głosi
I o pomoc dłań prosi.

Dzwońcie, dzwońcie, dzwoneczki,
Od wioski do wioseczki;
Chrońcie od nieszczęść kmieci,
Pędźcie do szkoły dzieci!

Floryan ze Lwowa.

Ignacy Marchocki,

sławny dziwak.

Jak między prostaczkami, tak i między panami zdarzą się nieraz dziwnego usposobienia ludzie, a szczęście dla bliźnich, jeźli dziwactwem swojem nie wyrządzają im przykrości i kłopotu.

Do takich dziwacznych, a nieszkodliwych ludzi, należał pan Ignacy Marchocki na Podolu.

Podole, najżyźniejsza ziemia, leży w połowie w naszym kraju na północno zachodniej stronie, w połowie w moskiew-

skiem państwie. Przez środek Podola idzie więc granica galicyjska, a na granicy po stronie Podola moskiewskiego leży wieś Mińkowce. W niej mieszkał w samiutkim końcu przeszłego wieku Ignacy Marchocki, jako pan dziedziczny, potomek bardzo możnej rodziny szlacheckiej.

A że pochodził od bogaczów, już od maluczkości wiele myślał o swoim rodzie i godności, bo wmawiano w niego bez przestanku, że takie i takie należą się mu tytuły, przez co spaczyło się jego wychowanie.

Będąc później panem na swoją rękę, nie przestał zajmować się ulubionemi myślami, aż nakoniec pomięszało się mu w głowie i w chorobliwym stanie opanowało go dziwactwo.

Zdarzyło się prawie, że dostał nakaz, by dostawiał przybory dla wojska moskiewskiego. Jakoż odwiózł je na wielu wozach. Kiedy z niemi do domu wracał, wymarzył sobie drogą, że jest księciem i jako taki powinien udzielnie panować w państwie. To też gdy tylko stanął w swojej dziedzicznej wiosce, zaraz nazwał majętność swoją księstwem i jako książę zaczął w niej panować. A ponieważ majętność jego rozciągała się na samej granicy państwa austryackiego, kazał na pograniczu Galicji, kraju naszego, powbijać słupy, a na nich porobić napisy:

„Granica państwa mińkowieckiego od państwa austryackiego.“

Z drugiej zaś strony swojego księstwa kazał także popostawiać słupy z napisami:

„Granica państwa mińkowieckiego od państwa rosyjskiego.“

A kiedy słupy stanęły w oznaczonych miejscach, zbudował niby miasta, pałace letnie i książęce, i każdemu z nich najdziwaczniejsze podawał nazwiska.

Wśród gęstego lasu wznosiła się wysoka góra. Na niej wystawił zamek i nazwał go Ostrokowem. Mieszkanie letnie nazywało się Belmontem.

Założył przytem wielki i wspaniały ogród, który Przytuliją zamianował. W nim było wiele zabudowań, i tu też

udzielny książę najwięcej przepędzał czasu. W ogrodzie tym wychowywał swoje dzieci bez nauki.

W państwie zaś całem nie było uciemiężenia, a więc nie było i pańszczyzny.

Pan Ignacy Marchocki udzielał rozmaite przywileje i wypisywał na nich miejsca, z których je wydawał, tudzież kładł rok swojego panowania i podpisywał się śmiesznie: Hrabia Ignacy Ścibor Marchocki, herbu Ostoja, książę na Mińkowcach, Bełmoncie, Otrokowie i grodach przytulijskich pan.

W państwie swojem sam nie załatwiał spraw ani osobistych, ani poddanych swoich, jeno zwoływał sejmy. Na sejmowych zapraszał najstarszych kmieci, a co ci wspólnie uchwalili, obowiązkiem było dla wszystkich. Sejmy takie odbywały się zwykle w ulubionym ogrodzie Przytulii. Dla sejmowych były tam urządzone ławki, a te w czasie narad pokrywano zielonem suknem.

Sejm był dwojaki. Oprócz tego miał pan Marchocki radę stanu czyli władzę ustanawiającą prawa w państwie minkowieckim i trybunał czyli najwyższą władzę sądowniczą bez apelacji, to znaczy, że nie wolno się było odwoływać, ale poprzestawać na wydanym wyroku. Trybunał więc rozsądzał najważniejsze sprawy bez odwoływania się do innej władzy. Tak rada stanu, jak i trybunał sądowniczy był złożony ze samych kmiotków, najpoważniejszych i najuczciwszych starców z majętności pana Marchockiego. (Dokończenie nastąpi).

Klon.

Obrazek przedstawia wam liście i kwiat tak powszechnie znanego klonu. Rośnie on w Europie, Azji i Ameryce. Drzewo to jest tak dobrze prawie każdemu znane, a przecież mało komu przyjdzie na myśl, że z niego wyrabiają napój do wina podobny, lub cukier. Gatunków klonu jest kilka i tak: klon zwykły, czyli biały, francuski, czerwony, kończasty, tatarski, polny, chropawy, pręgowany i cukrowy.

Klon biały czyli zwykły jest drzewem wyniosłem, dochodzącem niekiedy do 100 stóp wysokości, a 4 stóp w przecięciu.

W czasach pogańskich doznawał z powodu swej okazałości czci boskiej; osobliwie, gdy go ścinać miano, skrapiali kapłani pogańscy korzenie winem i na klęczkach prosili, aby bogowie udzielili im swego drzewa i obiecywali się odwdzięczyć. Działo się to dlatego, że dostarcza wybornego materyału, szczególnie na wyroby tokarskie, łatwo się bowiem wygładzić daje.


Klon.

Klon kończasty, tak zwany od ostro zakończonych liści, jest również pożytecznem drzewem, nietylko na opał, jak niemniej dla napoju, jaki z niego wyrabiają mieszkańcy Szkocji. Na wiosnę robią otwór w drzewie, z którego obficie sok wypływa i wyrabiają z niego napój do wina podobny.

Najważniejszym jest klon cukrowy. Rośnie w północnej Ameryce, osobliwie około półwyspu Kanady. Dochodzi 50 do 60 stóp wysokości, a gruby na 2 stopy. Zawiera w sobie bardzo wiele soku, z którego to cukier wyrabiają w ten sposób: Wiercą w drzewie niezbyt wysoko nad ziemią otwory. Z jednego takiego otworu w przeciągu 24 godzin, wypływa ośm konwi soku cukrowego, który należycie wygotowany, daje funt cukru. Używają go także świeżo, niegotowanego, jest to bowiem chłodzący i bardzo przyjemny napój. Drzewo jego jest podobno o wiele lepsze i użyteczniejsze niż innych klonów.

Inne gatunki klonu dostarczają tylko materjału na wyroby, albo służą na opał.

Szczur.

Nie każdemu zapewne jest wiadomem, że szczury nie były dawniej znane w Polsce. Za panowania Piastów nie było jeszcze ani jednego szczura w naszym kraju, a Popiela musiały zjeść myszy. Dopiero po odkryciu Ameryki zjawił się pierwszy gatunek, tj. szczur zwyczajny w Europie, zapewne przywieziony na hiszpańskich okrętach, około r. 1577 — a do nas przywlókł się daleko później. Wkrótce się jednak te wstrętniki okropnie rozmnożyły, co trwało aż do r. 1750, w którym to czasie przywędrował znowu drugi gatunek, tj. rudy szczur wędrowny, straszny nieprzyjaciel szczura zwyczajnego; toż wszędzie, gdzie się tylko pokaże, zaraz stacza ze swoim kuzynkiem amerykańskim zacięte pojedynki i boje, a ponieważ jest większy i silniejszy, to najczęściej zwycięża i miejsce pierwszego zajmuje.

W naszych czasach stał się dawniejszy szczur zwyczajny już dosyć rzadkim, mianowicie po miastach, szczególniej nad wodą leżących, ustąpił zupełnie szczurowi wędrownemu.

Wszystkie szczury nad brzegami rzek płynących przez miasta, w wielkim dobrobycie żyjące, należą do tego ostatniego gatunku.

Niedawno odkryty został na Bukowinie i na Podolu (mieszkający zresztą także i na Węgrzech) jamnik ślepiec. Jest on wielkości szczura zwyczajnego, tj. ma długości ciała 7 do 9 cali. Szczególne to zwierzątko odznacza się na pierwszy rzut oka brakiem zupełnym ogona i maciupeńkiemi, prawie niewidzialnemi oczkami; barwa jego popielata, koło pyszczka białe plamki, czasem i na twarzy. Mieszka w norkach podziemnych, rzadko wyłazi na wierzch. Żywi się korzonkami i cebulkami.

Zbieranie składek na szkoły.

Wszyscy już teraz wiedzą, że Polska upadła dlatego, ponieważ lud wiejski nie miał wolności i nie był oświeconym. Gdyby owe miliony ludu wiedziały były, że są Polakami, gdyby były miały

oświatę i wolność, żadna moc ludzka zmódzby nas nie potrafiła. Ale od stu lat jeszcze nie poprawiliśmy się; jeszcze są miliony, co ani czytać ani pisać nie umieją, jeszcze jest kilka tysięcy gmin, co nawet szkoły nie wybudowały. A szkoła wiejska, to pierwszy początek oświaty, a oświata to jedyna broń do podźwignięcia się z upadku i zaradzenia niedoli.

Otóż w stuletnią rocznicę rozbioru zebrali się najznakomitsi mężowie z całego kraju i uradzili, że będą zbierać składki na szkoły wiejskie i nazwali się zgromadzeniem do zbierania składek, czyli z łacińskiego Komitetem. Po całym kraju mianowali swoich pełnomocników, czyli delegatów. Ci będą zbierać składki od każdego, kto ochotny, ofiarny i czuje, że oświaty potrzeba. Wezwali następnie cały naród do ofiary takiemi mniej więcej słowami:

„Od dawna poznali wszyscy, iż oświata, jest głównym warunkiem do podźwignięcia się z upadku.

Czas już, abyśmy to wszyscy czynem udowodnili.

Oświecajmy lud, aby stał się narodem, oświecajmy lud, aby przestał być nieszczęśliwą ofiarą wyzyskiwania, dźwignął się moralnie i materyalnie.

Luźne usiłowania częściowo tylko zaradzają potrzebie oświaty. By jej zaradzić skutecznie, potrzeba przedewszystkiem podnieść szkoły.

Mamy w kraju naszym ledwie dwie szkoły na 5 gmin.

Mamy 3500 gmin bez szkół. Na 100 dzieci, co obowiązane są chodzić do szkoły, chodzi tylko 20.

Przeszło 600.000 przyszłych obywateli rośnie bez najmniejszego wykształcenia, bez nauki czytania i pisania, a liczba ich wzrasta z każdym rokiem o 14 tysięcy.

Nauczyciele ludowi z płacy swojej żadną miarą wyżyć nie mogą.

Oto takie są szkoły w naszej prowincji, i to tworzy nieprzepartą zaporę do dźwignienia się z niedoli moralnej i materjalnej.

Nim sejm, który w pierwszym rzędzie do tego jest obowiązany, uchwali przeciw temu środki — niech ofiarność ludności samej, przyjdzie w pomoc oświacie. Niech ta ofiarność będzie dowodem, iż dążymy do usunięcia biedy i niedoli.

Każdy grosz na ten cel wydany, stokrotnie się wynagrodzi. Nie szczędźmyż grosza na ugruntowanie pomyślności naszej.

Ofiarą tylko dźwiga się naród upadły. Ponośmyż ją ochoczo, ona niewątpliwie lepszą nam zapewni przyszłość.

Oszczędzajmy się w wydatkach mniej potrzebnych, a grosz oszczędzony zrzucajmy do skarbnicy oświaty ludowej. Składajmy

groszami, ale często, ale wszyscy, bez wyjątku, ale przy każdej sposobności. Fundusz tak zebrany zostanie użyty bądź na jednorazowe zasilenie szkół — bądź na trwałe uposażenie już istniejących, lub wreszcie na założenie nowych.

Podpisani zawiązali się celem zbierania tego funduszu w komitet, który zatwierdzony przez c. k. namiestnictwo dnia 21. stycznia rb. do l. 319 rozpoczyna czynność swoją przez mianowanie komitetów po większych miastach, a delegatów we wszystkich powiatach do zbierania składek. Nazwiska członków komitetów i delegatów podane będą do publicznej wiadomości.

Nim to nastąpi, można wszelkie datki nadsyłać pod adresem: „Komitet do zbierania składek na szkoły ludowe", na ręce p. Franciszka Zimy, dyrektora galicyjskiej kasy oszczędności we Lwowie.

W przekonaniu, iż wszyscy obywatele kraju naszego, przejęci są potrzebą dźwignienia oświaty ludu — komitet pewnym jest, iż od tej ofiarnej a pożytecznej pracy nikt z mieszkańców nie usunie się. i wedle możności swojej przyczyni się do podniesienia oświaty.

We Lwowie, d. 30. stycznia 1872.

Komitet do zbierania składek na szkoły ludowe.

Podpisano: Przewodniczący: *Alfred Młocki.* Zastępca: *Aleksander Jasiński.* Członkowie komitetu: *Włodzimierz Dzieduszycki*, *Piotr Gross*, *Maurycy Kabat*, *Kornel Krzeczunowicz*, *Oktaw Pietruski*, Rabin *Bernard Loewenstein*, *Adam Sapieha*, *Ludwik Skrzyński*, *Seweryn Smarzewski*, ks. *Dalmacy Ufryjewicz* Przeor OO. dominikanów, *Karol Wild*, ks. *Feliks Zabłocki* Kanonik; *Florjan Ziemiałkowski.*

Sposób zbierania składek. Komitet do zbierania składek na szkoły ludowe zamianuje w całym kraju delegatów, tak, by przynajmniej każdy powiat miał jednego, każde miasto powiatowe drugiego delegata.

We Lwowie i Krakowie będą osobne komitety miejscowe.

W miastach odbywać się będą kwesty od domu do domu.

W miejscach publicznych, w sklepach, kawiarniach, cukierniach, wreszcie w domach prywatnych będą się znajdować puszki z napisem: **„Na szkoły"**.

Puszki te rozdawane będą przez delegatów, którzy je swą pieczęcią zaopatrzą. Co miesiąc delegat otworzy każdą puszkę, pieniądze przeliczy i zapisze, i puszkę napowrót zapieczętuje.

Delegaci są obowiązani co miesiąc wszelkie zebrane składki przesyłać do komitetu głównego, wraz z dokładnym spisem.

Redaktor odpowiedz. i wydaw. Kazimierz Okaz. — Z drukarni „Gazety Narodowej."